

(Z tomu *Five Fields*)

Przekład

po tłumaczeniu z walijskiego – szczególnie powieści *Kate Roberts*

Twoja dłoń na jej dłoni – nie byłeś
tak blisko kobiety od czasu, kiedy oszołomiła cię
uroda twojej matki przy szkolnej bramie,
kiedy z najlepszą przyjaciółką trzymałyście się
za spocone lepkie ręce,
gdy ty, uczennica w gościnie u górnika –
dwa na górze dwa na dole, za małym, żeby zmieścić pokój gościnny
czy choćby łóżko dla gości, dzielone z dwiema siostrami –
ten chichot w mroku, gorączka pierwszych rozmów o chłopcach.

Otwierasz manuskrypt. Ona podaje ci owoc.
Dzielisz go, jesz, doskonale potrafisz
unieść jego aksamitny ciężar, ugryźć, smakować
po ostatni złoty kęs. Tylko brak ci słów,
nie umiesz znaleźć słowa dla *eirin* – zapomniałaś języka w gębie –
angielski kot zjadł twój język, wylizując brzoskwiniowy miąższ
z twojej dłoni swoim szorstkim *langue de chat*,
tafood cath, zadra utraty.

Akt mowy

Eisteddfod 1993

Oglądamy samych siebie w telewizji; w deszczowy dzień
rozmawiamy w obcym języku o naszym języku.
Wysłannika rządu, przybyłego, by podziwiać
widoki, osaczyła burza
pod ciężkim niebem.

Ludzie, których znamy, przyjaciele, znajomi
wytykają palcami rumianą saską twarz –
wiedzą swoje.
Odczytujemy z ruchu jego warg przekleństwa
wypikowane ze ścieżki dźwiękowej.

Teraz pewnie jest na autostradzie,
albo w przytulnym hotelowym świetle –
ściera deszcz z żółtawych włosów, strząsa słowa jak pszczoły,

wytuskuje ze skóry żądła.

Wyłączamy wiadomości, słuchamy,
jak deszcz płynnie napętnia
rzeki Bwdrwam, Głowan i Clettwr,
odnajduje swój język w prastarym mroku
najgłębszych wodonośnych
warstw.

Grudzień

Mroczny miesiąc,
zanim wszystko zacznie się od nowa.
Fala wisi w powietrzu –
przejrzysta, z ładunkiem
kamyków, światła
i desek ze starego okrętu.

Śnią nam się delfiny
zastygłe w zielonym bursztynie,
ławica morświnów
wiruje w wielkim kole,
foka brnie do brzegu,
Ekskalibur tnie morze.

Słońce ześlizguje się na zachód,
na skraj świata.
Czy w tej fali
pulsuje coś żywego
w połyskującym kokonie
torebki syrenki?

Katedra w Llandof

Zanim nastali święci Dyfrig, Teilo, Eiddogwy;
zanim biskupi, budowniczy i kamieniarze;
zanim artyści i rzeźbiarze, Rossetti, Epstein;
zanim muzyka, organiści, chóry;
zanim architekci, Jasper Tudor, Wood, Seddon, Prichard, Pace;
zanim poezja psalmów, hymnów i modlitewnik powszechny;

zanim powstały „katedra”, „architektura”, „sztuka”,
kiedy naszym pierwszym domem
był dziewiczy niezmierny las,
kiedy nasi przodkowie wędrowali pod sklepieniem drzew,
wpatrując się w tę wzniosłość, zaskoczeni,
być może, poczuciem niewyraźnej tęsknoty;

zanim zaistniało słowo dla zdumienia,
imiona dla gwiazd, odcisk stóp na księżycu;
zanim święty Teilo wznosił w tym miejscu kościół,
zanim człowiek spojrzął na drzewo i zrobił krzyż,
poczuł, jak młóci deszcz i pomyślał o gwoździach,
musiał tu mieć miejsce pierwszy akt twórczy,

pierwszy znak, pierwsze słowo, pierwszy hymn, który olśnił,
pierwszy poemat o ludzkim sercu,
pierwszy obraz budowli wyższej od lasu –
sklepienie, nawy, clerestorium zaprojektowane przez słońce,
stworzone aktem wyobraźni,
byliśmy bowiem niegdyś mieszkańcami lasu,
i to od drzew nauczyliśmy się metafor.